

MAGDALENA BAJER

DUŻO UCZNIÓW, MAŁO MISTRZÓW

W warunkach masowego kształcenia nie zaskakuje znaczące rozluźnienie relacji mistrz – uczeń. Ubolewamy nad tym, nie znajdując dotąd sposobu na zaradzenie złym skutkom tego zjawiska. Z niedostatków bibliometrii, jako narzędzia oceny i publikacji, i ich autorów, środowisko akademickie zdało sobie sprawę już jakiś czas temu. Omawiane na spotkaniu w Tomaszowicach patologie, jakie trapią to środowisko, ujawniają się stopniowo.

Z perspektywy laika (dziennikarza) pragnę zwrócić uwagę na zapoznawane znaczenie oddziaływań, powiedzmy tak, tradycyjnych w procesie wychowawczym. Są one w obecnych warunkach ograniczone, ale nie wolno ich poniechać. Mam na myśli funkcjonowanie autorytetu mistrza, poddane liczniejszym ocenom, ale tym samym ciągle kryteriom. Mistrz bardziej odległy niż dawniej, kiedy seminaria gromadziły kilkunastu studentów, musi być bardziej wyrazisty w swoich cechach, decydujących o autorytecie. Mistrza widzianego z odległych miejsc pełnej sali nie wstydzą się studenci popełniający plagiaty, nie mówiąc o sytuacji, kiedy to przestępstwo zdarza się preceptorom (takich nie nazywam mistrzami).

Rozwój cywilizacyjny przyniósł nowe źródła wiedzy o świecie, nowe możliwości kontaktów z twórcami elementów tej wiedzy, z bohaterami wyobrażeń i dążeń. Wszystko to jednak zaciera, w pewnym stopniu, granicę między realną i wirtualną rzeczywistością. Dotyka także sfery aksjologicznej naszej świadomości. Normy moralne, zagrożone niegdyś marksistowską dialektyką, przypisującą im zależną od praw historii, zatem usprawiedliwioną zmienność, są dzisiaj relatywizowane przez inne czynniki, a przede wszystkim po prostu zapomniane wskutek rzadkiego używania.

Proszę wybaczyć te, sięgające w minioną przeszłość, dywagacje o rzeczach dość banalnych, ale wydaje mi się, że do ograniczenia omawianych patologii w życiu akademickim nie znajdziemy algorytmu, choć takie narzędzia są przydatne, jeśli posługują się nimi mistrzowie obdarzeni rzeczywistym autorytetem.

I sprawa niemiła zwolennikom metod perswazyjnych, a nie dotkliwych kar. Otóż, za przewinienia, o których tutaj dyskutujemy, choćby plagiaty, ale także fałszowanie wyników, nieuczciwe recenzje..., zwłaszcza w przypadkach recydywy, trzeba karać – nieuchronnie. Czytając teksty pana Wrońskiego, często się irytuję opisanymi dysputami o tym, co ma spotkać negatywnego bohatera, kiedy bez wątpienia wiadomo (po drobiazgowym śledztwie odpowiedniej komisji), że popełnił plagiat. Wykluczenie z akademickiej wspólnoty wydawałoby się bezdyskusyjne, gdyby karzący mogli powołać się bez wahania na dobre przykłady wychowawców i postawić ich wychowankom za przykład. Tak nie jest, ale konkluzja może być tylko taka, że karać trzeba zawsze i każdego wedle miary stawianych wymagań.

W krajach anglojęzycznych uczniowie i studenci nie odpisują zadań ani nie podpowiadają. Niektórzy tłumaczą to konkurencją, dezawuuując obyczaj, który znajduje w Polsce naśladowców – na razie u niektórych mistrzów surowo traktujących odpisywanie i podpowiadanie. Swoją drogą pytanie o motyw jest tu istotne dla oceny zjawiska i odpowiedź mogłaby wpłynąć na traktowanie go przez mistrzów.

Wszystkie omawiane w Tomaszowicach patologie, a jak usłyszeliśmy zdarzają się w najszacowniejszych gronach decydujących o awansach, publikacjach, grantach (także europejskich), środowisko akademickie stara się zwalczyć, a przynajmniej ograniczyć. I te wysiłki nie powinny osłabnąć, ale wydaje mi się, że działaniem długofalowym mogłoby (powinno?) być systematyczne kształtowanie pewnej symbolicznej sfery „godności uniwersyteckiej”, akcentowanie wyjątkowości tej wspólnoty – zmieniających się co cztery lata uczniów i mistrzów trwających dłużej niż czas ich pracy, bo często zapisanej w pamięci pokoleń.

Wiem, że to trochę utopia, przypomnijmy sobie jednak losy rozmaitych społecznych utopii, które w historii przybierały, choć zmodyfikowany, przecież kształt realny.